

GARDNER DAJE POKAZ SWOJEGO TALENTU!

„Suspense Magazine”



LISA GARDNER

NIE BÓJ SIĘ

Każda rodzina ma swoje tajemnice.
Nie każda ma trupy w szafie.

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
FEAR NOTHING

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Radosław Madejski 2015

Korekta: Sabina Raczyńska, Marek Ostrowski

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: Janet Matthews/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Prolog

LULAJ, DZIECINO, OCZĘTA ZMRUŻ...

Ciało zniknęło, ale woń nadal unosiła się w powietrzu. D.D. Warren, detektyw sierżant bostońskiego wydziału zabójstw, wiedziała z doświadczenia, że zapach krwi może utrzymywać się w takich miejscach jeszcze przez kilka tygodni, a nawet miesięcy. Technicy kryminalistyczni zabrali pościel, ale krew już żyła własnym życiem. Wsiąkała w gipsową ścianę. Ściekała za drewniane listwy. Spływała między deski podłogi. W żyłach dwudziestoośmioletniej Christine Ryan krążyło około 4,7 litra krwi. Teraz w większości wsączyła się w goły materac, który leżał na środku przygnębiająco szarego wnętrza.

Księżyc wyszedł, ciemno już...

Zgłoszenie przyjęto tuż po dziesiątej rano. Przyjaciółka ofiary, Midge Roberts, zaczęła się niepokoić, kiedy Christine nie reagowała na pukanie do drzwi ani na esemesy. Christine należała do odpowiedzialnych osób. Nigdy nie zdarzało się jej zaspać ani pójść w tango z jakimś przystojnym barmanem, a kiedy zmogła ją grypa, zawsze uprzedzała przyjaciółkę, która o siódmej rano w każdy dzień roboczy wstępowała po nią w drodze do biura rachunkowego, gdzie wspólnie pracowały.

Midge skontaktowała się z kilkoma innymi przyjaciółkami. Wszystkie zgodnie potwierdziły, że Christine nie odzywała się

do nich od kolacji poprzedniego dnia. Zdając się na instynkt, Midge powiadomiła administratora i ten w końcu zgodził się otworzyć drzwi.

A potem zarzygał cały hol na piętrze, dokonawszy makabrycznego odkrycia.

Midge nie weszła na górę. Stała w przedsionku wąskiego dwupoziomowego apartamentu i jak później oznajmiła Philowi, policjantowi z ekipy D.D., wszystko wiedziała. Po prostu wiedziała. Przypuszczalnie nawet na odległość zdołała wyczuć charakterystyczną woń krzepnącej krwi.

Lulaj, dziecino...

Kiedy D.D. przybyła na miejsce, jej uwagę przykuły wyraźnie kontrastujące ze sobą akcenty. Młoda ofiara leżała na łóżku z rozpostartymi ramionami, wlepiając w sufit niewidzące błękitne oczy. Jej twarz o ładnych rysach, otoczona sięgającymi do ramion brązowymi włosami, które łagodnymi falami okrywały śnieżnobiałą poduszkę, zdawała się emanować spokojem.

Za to od szyi w dół...

Oddarte od ciała wąskie pasy skóry zwijały się w długie serpentyny. D.D. słyszała już o takich rzeczach, a teraz miała okazję zobaczyć to na własne oczy. Młoda kobieta oskórowana we własnym łóżku. Butelka szampana na szafce nocnej i czerwona róża na zakrwawionym brzuchu ofiary.

Obok butelki Phil znalazł kajdanki. Obite sztucznym futerkiem, wyglądały na artykuł z ekskluzywnego sex shopu. Zabawy z kajdankami, bąbelki i ta róża...

Mogła to być miłosna schadzka, która wymknęła się spod kontroli, jak domniemywał Phil. Czy też, zważywszy na okrucieństwo, z jakim zadano rany, akt zemsty wzgardzonego kochanka. Christine zerwała z jakimś żalosnym frajerem i zeszłej nocy żalosny frajer wrócił, żeby udowodnić raz na zawsze, do kogo należy ostatnie słowo.

Ale D.D. nie była przekonana do tej teorii. Owszem, na miejscu zbrodni znajdowały się kajdanki, ale obok łóżka, a nie na nadgarstkach ofiary. Owszem, na szafce stała otwarta butelka szampana, lecz jej zawartość nie trafiła do przygotowanych kieliszków. I w końcu róża, owszem, ale bez przybrania i ozdobnej folii, w jaką zawija się bukiety w kwaciarni.

Cała sceneria wydawała się jej zbyt przemyślana. To nie było zabójstwo w szale namiętności ani efekt kłótni między dwojgiem rozchodzących się kochanków. To wyglądało na starannie wyreżyserowaną scenę, która wymaga wielu miesięcy, lat, a nawet całego życia dokładnych przemyśleń.

Zdaniem D.D. to, co mieli przed sobą, nie było zwykłym miejscem zbrodni. Patrzyli na obraz najgłębszych i najmroczniejszych fantazji zabójcy.

I chociaż zetknęli się z czymś takim po raz pierwszy, zabójstwo o tak silnie zaakcentowanym rytualnym charakterze prawdopodobnie stanowiło dopiero zapowiedź kolejnych.

Księżyc wyszedł, ciemno już...

Detektywi z wydziału zabójstw, technicy kryminalistyczni i asystenci lekarza sądowego, nie wspominając o całej masie innych funkcjonariuszy dochodzeniowych, spędzili w tym domu sześć godzin. Zabezpieczali ślady, zdejmowali odciski palców, sporządzali wykresy i dyskutowali, aż w końcu zapadł zmrok, przyszła pora kolacji i zaczynało się robić nerwowo. Jako prowadząca śledztwo D.D. odesłała wszystkich do domu; kazała im się odświeżyć i zregenerować siły. Uznała, że jutro też będzie dzień, a czeka ich przetrząsanie federalnej bazy danych w poszukiwaniu zabójstw o podobnym charakterze, a także sporządzenie profili ofiary i mordercy. Mieli mnóstwo do zrobienia i musieli rozważyć wiele aspektów sprawy, więc teraz należało im się trochę odpoczynku.

Wszyscy skwapliwie wypełnili jej polecenie. Oczywiście z wyjątkiem jej samej.

Dochodziła dziesiąta wieczorem. D.D. powinna wrócić do domu. Pocałować męża na powitanie. Zajrzeć do pokoju trzyletniego synka, który o tak późnej porze już spał. Położyć się do łóżka i dobrze wyspać. Tymczasem wciąż tkwiła w spowitym mrokiem pokoju, a w jej głowie rozbrzmiewały słowa kołysanki, która ostatnio szczególnie przypadła do gustu jej dziecku.

Nie potrafiła jednak się stąd ruszyć. Jakiś instynkt, a może głos intuicji, ciągnął ją z powrotem do tego opustoszałego domu w środku miasta. Spędziła w nim większość dnia, wymieniając uwagi i spostrzeżenia ze swoimi detektywami. Teraz stała na środku przesyconego wonią krwi ciemnego pokoju i czekała na jakieś przeczucie.

Lulaj, dziecino, oczęta zmruż...

Christine Ryan już nie żyła, kiedy zabójca wykonał pierwsze cięcie. Mogli wysnuć taki wniosek, bo na bladej twarzy ofiary nie było śladu po grymasie bólu. Spotkała ją stosunkowo łagodna śmierć. Potem, kiedy jej serce skurczyło się po raz ostatni, sprawca przystąpił do dzieła; na początek rozkroił skórę na długim odcinku wzdłuż prawego boku.

Oznaczało to, że nie chodziło mu o cierpienie ofiary, lecz o...

Zademonstrowanie czegoś? Inscenizację? Dopelnienie rytuału? Zabójca musiał mieć obsesję na punkcie skóry. Być może jako dziecko zaczynał od małych zwierząt, a potem, kiedy jego fantazje coraz bardziej przybierały na sile...

Lekarz sądowy miał szukać śladów wskazujących na to, że sprawcy zadrżała ręka w chwili wahania – jeśli znalezienie wystrzępionych brzegów na tyłu poskręcanych paskach skóry było w ogóle możliwe. Miał również stwierdzić, czy ofiara była napastowana seksualnie.

D.D. po raz kolejny poczuła, że ogarnia ją dokuczliwy niepokój. Zwróciła uwagę na wszystkie elementy, które mógł

dostrzec każdy detektyw prowadzący dochodzenie. Mimo to w głębi duszy zaczynała już nabierać podejrzeń, że podąża błędnym tropem. Że tak naprawdę poddaje się temu, na czym zabójca chciał skoncentrować uwagę śledczych.

W jakim celu miałby aranżować wszystko w taki sposób, jeśli nie po to, by widzowie zobaczyli dokładnie te rzeczy, które chciał im pokazać?

I wtedy dotarła do niej myśl, którą zepchnęła w głąb świadomości. Najważniejsze pytanie, od którego należało wszystko zacząć i na które odpowiedzi szukała teraz, stojąc w mroku, by celowo zaciemnić sobie pole widzenia: po co ktoś urządził to wszystko?

Usłyszała jakiś odgłos dobiegający z daleka. Czyżby powoli i ostrożnie otwierano drzwi frontowe? A może to skrzypnęły drewniane schody, gdy czyjaś noga spoczęła na najniższym stopniu? Albo parkiet w salonie na dole ugiął się pod czymś ciężarem?

Ten odgłos. Z początku odległy, potem coraz bliższy. I nagle detektyw sierżant D.D. Warren szybko uświadomiła sobie coś, co powinna była zauważyć już piętnaście minut temu. Ulubiona kołysanka Jacka, dziecinna piosenka, którą nuciła półgłosem... Ta melodia wydobywała się nie tylko z jej ust.

Śpiewał ją ktoś jeszcze. Cicho i delikatnie. Głos dobiegał spoza sypialni. Z jakiegoś miejsca w dwupoziomowym apartamencie zamordowanej kobiety.

Lulaj, dziecino, oczęta zmrzuż...

Ręka D.D. błyskawicznie sięgnęła po broń, jej palce odpięły zatrzask kabury zawieszonyj pod pachą i zacisnęły się na rękojeści sig sauera. D.D. wykonała półobróć, przykucnęła i omiotła wzrokiem sypialnię, wypatrując intruza. Nie zauważyła w ciemności żadnego ruchu. Żadnego cienia, który miałby kształt ludzkiej sylwetki.

Ale wtedy usłyszała ten odgłos. Skrzypienie podłogi w którymś z pomieszczeń.

Kiedy wiatr wieje, gałąź się chwieje...

Pospiesznie wyszła z sypialni do pogrążonego w mroku korytarza, trzymając przed sobą odbezpieczony pistolet. W wąskim korytarzu nie było żadnego oświetlenia i docierała tam jedynie blada poświata wpadająca do środka przez niezastłonięte okna. Na drewnianej podłodze rozpościerały się jaśniejsze i ciemniejsze plamy w różnych odcieniach szarości.

Ale D.D. zdążyła poznać ten apartament. Przypominała sobie teraz układ wnętrza. Przechodziła już tędy, omijając ostrożnie kałużę wymiocin i wychwytyując wszystkie istotne szczegóły.

Dotarła do szczytu schodów, nieustannie rozglądając się na boki, i spojrzała w głąb atramentowej otchłani, która kryła w sobie salon na parterze. Nie słyszała już śpiewania, ale całkowita cisza była jeszcze gorsza.

Wtem w ciemności znów rozległ się głos, niski i melodyjny.

Lulaj, dziecino, oczęta zmruż...

D.D. znieruchomiała. Jej wzrok nerwowo lustrował mroczne wnętrza, próbując ustalić położenie intruza, który nie przestawał nucić.

Kiedy wiatr wieje, gałąź się chwieje...

I wtedy zrozumiała. Poczuła, jak oblewa ją zimny pot, gdy z jej domysłów wyłoniła się logiczna całość. Po co ktoś urządził to wszystko? Ponieważ szukał widowni. A raczej jakiegoś konkretnego widza. Na przykład nadgorliwej policjantki z wydziału zabójstw, która byłaby na tyle nieostrożna, żeby w pojedynkę przyjść po zmroku na miejsce zbrodni.

Poniewczasie sięgnęła po komórkę i w tym momencie usłyszała za plecami szmer. Odwróciła się gwałtownie, otwierając szeroko oczy z przerażenia.

Z cienia ktoś wyskoczył i rzucił się prosto na nią.

Gdy mocniej zadmie, kołyska spadnie...

D.D. instynktownie się cofnęła. Zapomniała jednak, że stoi u szczytu schodów. Jej lewa stopa, szukając oparcia, natrafiła na pustą przestrzeń.

– Nie! – krzyknęła, gdy telefon wysunął się jej z dłoni i odbijając się od stopni, poleciał w dół.

Uniosła się sauerą i przechyliła się do przodu, nadaremnie próbując odzyskać równowagę.

Wtedy ciemna postać znalazła się tuż przed nią, a ona runęła w tył.

W ostatniej sekundzie instynktownie nacisnęła spust. Rozległ się huk. Po nim drugi i trzeci. Mimo że zdobyła się na ten desperacki akt samoobrony, zdawała sobie sprawę, że to nie wystarczy. Że jest już za późno.

Uderzając głową o twardy parkiet, usłyszała chrupot i poczuła przeszywający ból. Do jej uszu dobiegły wypowiedane szeptem słowa kołysanki:

Gdy mocniej zadmie, kołyska spadnie...

Rozdział 1

MOJĄ PRZYPADŁOŚĆ ODKRYŁA STARSZA siostra, kiedy miałam trzy lata. Gdy raz nasza opiekunka weszła do pokoju, Shana ścisnęła w dłoni ostre nożyczki, tymczasem ja stałam przed nią i unosiłam posłusznie obnażone ręce, z których krew ściekała na oliwkowozielony dywanik.

– Zobacz, ona nawet nie piśnie – oznajmiła moja sześćioletnia siostra i rozorała mi nożyczkami skórę na przedramieniu.

Na widok strugi świeżej krwi, która buchnęła z rany, kobieta wydała okrzyk przerażenia i osunęła się zemdlna na podłogę. Patrzyłam na nią zdziwiona, zachodząc w głowę, co się stało.

Po tym incydencie siostra gdzieś znikła, a mnie zabrano do szpitala. Tam lekarze przez kilka tygodni poddawali mnie różnym badaniom, które powinny okazać się bardziej bolesne niż zabiegi mojej siostry. W końcu doszli do wniosku, że na skutek niezwykle rzadkiej mutacji genu SCN9A nie odczuwam bólu. Czuję ucisk. Czuję dotyk ostrza, które wrzyna się w moje ciało. Czuję kształt gładkiej krawędzi wypolerowanego metalu. Ale właściwe doznanie towarzyszące rozcinaniu skóry, tak że wzbierają na niej kropelki krwi, jest mi obce.

Nie czuję tego co wy wszyscy. Nigdy nie czułam. I nigdy nie poczuję.

OD CZASU, GDY SHANA POHARATAŁA mi rękę nożycami krawieckimi, nie widziałam jej przez dwadzieścia kolejnych lat. Większość tego czasu spędziła w różnych zakładach poprawczych, stając się sławna jako jedna z najmłodszych pensjonariuszek w stanie Massachusetts, które leczono środkami neuroleptycznymi. Po raz pierwszy targnęła się na czyjeś życie w wieku jedenastu lat, a jako czternastolatka miała już na koncie pierwsze zabójstwo. Takie było osobliwe dziedzictwo naszej rodziny.

Moja siostra stała się kolejną ofiarą systemu, ale ja mogłabym służyć za idealny przykład udanego dzieciństwa.

Lekarze, którzy mnie badali, nie byli przekonani, czy ze względu na moją przypadłość wychowanie w rodzinie zastępczej będzie dla mnie odpowiednim rozwiązaniem. Bądź co bądź, znano niejeden przypadek dziecka z taką samą mutacją genetyczną, które podczas ząbkowania kaleczyło sobie język. Wiele maluchów doznawało oparzeń trzeciego stopnia, dotykając rozpalonej do czerwoności kuchenki, a starsze przedszkolaki potrafiły biegać cały dzień z popękаныmi kośćmi albo naderwanymi ścięgnami, nie zdając sobie sprawy ze swoich obrażeń.

Ból jest bardzo przydatny. Ostrzega nas przed niebezpieczeństwem, pozwala ocenić ryzyko i przewidzieć konsekwencje naszych działań. Gdyby nie ból, skok z dachu mógłby się wydawać świetnym pomysłem. Nic nie stałoby na przeszkodzie, by zanurzyć rękę we wrzącym oleju i wydobyć pierwszą wysmażoną frytkę. Albo zerwać sobie paznokieć, bawiąc się obcęgami. Większość dzieci o wrodzonej niewrażliwości na ból przyznaje się do działania pod wpływem

impulsu. Robią coś, bo dlaczego miałyby tego nie robić?

Inne z kolei przyznają z nutą tęsknoty w głosie, że zrobiły to, by się przekonać, czy zaboli. Niezdolność do odczuwania czegoś, co jest powszechne dla wielu innych, czyni z tego doznania coś w rodzaju Świętego Graala, którego są skłonni szukać przez całe życie. Są owładnięci jednym przemożnym dążeniem. Opętani przez bezwzględną obsesję. Pragnienie rozkoszy, jaką dałby im ból.

Wśród dzieci dotkniętych zaburzeniami odczuwania bólu panuje wysoki odsetek śmiertelności. Niewielu udaje się dożyć dorosłości. Większość wymaga czujnej opieki przez całą dobę. Jeżeli chodzi o mnie, jeden z naukowców, mężczyzna w podeszłym wieku, który nie miał żony ani dzieci, wykorzystał pewne układy, żeby mnie adoptować. Zamieszkałam z nim jako jego ukochana córka, a także wdzięczny obiekt badań naukowych.

Mój przybrany ojciec był dobrym człowiekiem. Zatrudnił najlepsze opiekunki, które nie spuszczały mnie z oka przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a sam zajmował się mną w weekendy, ucząc mnie, jak żyć z taką przypadłością.

Na przykład jeśli człowiek nie doświadcza bólu, musi znaleźć jakiś inny sposób, który pozwoli mu rozpoznawać potencjalne zagrożenia. Jako małe dziecko dowiedziałam się, że wrząca woda oznacza niebezpieczeństwo. Podobnie jak palniki kuchenki i grzejniki. Najpierw wyczuwałam dotykiem strukturę powierzchni różnych przedmiotów. Wszystko, co było ostre, musiałam zostawić. Nie mogłam używać nożyczek. W domu nie było żadnych mebli o ostrych krawędziach. Nie mogłam bawić się z kotem ani psem, ani żadnym innym stworzeniem, które ma ostre pazury. Wolno mi było tylko chodzić. Nie mogłam podskakiwać, ślizgać się, biegać ani tańczyć.

Za każdym razem, gdy wychodziłam z domu, musiałam

wkładać kask i specjalne ochraniacze. Potem, po powrocie, zdejmowano ze mnie tę zbroję i oglądano uważnie całe moje ciało w poszukiwaniu śladów obrażeń. Pewnego razu opiekunka po zdjęciu mi buta odkryła, że moja stopa jest wykręcona. Najprawdopodobniej pozrywałam sobie wszystkie ścięgna, idąc do ogrodu. Innym razem wróciłam naspikowana żądłami. Natknęłam się na gniazdo szerszeni i w swej naiwności pięciolatki byłam przekonana, że rozjuszony owady chcą się ze mną bawić.

Z wiekiem nauczyłam się samodzielnie przeprowadzać badania swojego ciała. Codzienne pomiary temperatury pozwalały mi stwierdzić, czy mam gorączkę, co oznaczałoby, że mój organizm cierpi z powodu jakiejś infekcji. Co wieczór stawiałam nago przed wielkim lustrem i oglądałam swoją skórę centymetr po centymetrze, wypatrując sińców i skaleczeń, a następnie sprawdzałam, czy moje stawy nie są spuchnięte lub odkształcone. Potem przychodziła kolej na oczy. Zaczerwienienie gałki ocznej oznaczało, że została podrażniona. Zaglądałam sobie do uszu. Krew w małżowinie usznej mogła świadczyć o pęknięciu błony bębenkowej, jak również o urazie głowy. Na koniec sprawdzałam wewnątrz nosa i ust, zęby, język i dziąsła.

Moje ciało jest niczym statek, którego powłokę należy kontrolować, pielęgnować i reperować. Wymaga dodatkowej uwagi, ponieważ wskutek braku molekularnych kanałów, które przenosiłyby elektryczne impulsy bólu z receptorów do mózgu, nie potrafi samo o siebie zadbać. Dotknięta takim zaburzeniem, nie mogę polegać na tym, co czuję. Muszę kierować się tym, co zapewniają mi zmysły wzroku, słuchu, smaku i powonienia.

Umysł musi górować nad materią, jak powtarzał mi raz za razem mój przybrany ojciec. Po prostu chodzi o najzwyczajniejsze panowanie rozumu nad ciałem.

Kiedy skończyłam trzynaście lat i jak dotąd nie zabiło mnie

żadne zakażenie, udar czy zwykła beztroška, ojciec posunął się w swoich badaniach o krok dalej. Podczas gdy na całym świecie odnotowano dwieście podobnych przypadków dzieci o genetycznie uwarunkowanej niewrażliwości na ból, tylko około czterdzieścioro z nich zdołało dożyć wieku dorosłego. Obserwacja tych przypadków pozwoliła odkryć kolejne niedostatki życia, w którym brakuje zdolności odczuwania cierpień fizycznych. Na przykład wielu badanym trudno było wczuć się w sytuację innych osób, bo ich rozwój emocjonalny przebiegał wolniej i mieli trudności z dostosowaniem się do otoczenia.

Mój przybrany ojciec od razu zlecił przeprowadzenie wyczerpującej diagnozy psychologicznej. Czy jestem zdolna dostrzegać cierpienie u innych? Rozpoznać wyraz bólu na twarzy obcego człowieka? Właściwie reagować na oznaki dolegliwości fizycznych u ludzi, którzy żyją wokół mnie?

Skoro od urodzenia nigdy nie płakałam z powodu rozciętego palca, to czy jako szesnastolatka uronię łzę, gdy najserdeczniejsza przyjaciółka nazwie mnie dziwolągiem i przestanie się do mnie odzywać? Czy skoro potrafiłam biegać cały dzień z potrzaskanym kolanem, poczuję wzruszenie, kiedy w dniu dwudziestych trzecich urodzin dowiem się, że odnalazła mnie siostra, a na kopercie listu, który mi przysłała, widnieje stempel zakładu penitencjarnego?

Skoro ani przez sekundę nie doświadczyłam prawdziwego bólu, czy zdołam pojąć, co przeżywa mój przybrany ojciec na łożu śmierci, kiedy ściskając mnie za rękę, wydaje ostatnie tchnienie?

– Adeline. To jest właśnie to. Cierpienie.

Kiedy stałam samotnie nad jego trumną, wydawało mi się, że to rozumiem. Ale będąc jego córką, zdawałam sobie również sprawę, że nigdy nie mogę mieć takiej pewności. Dlatego zająłam się tym, czego mnie nauczył. Przystąpiłam do

zaawansowanego programu doktoranckiego, w którego ramach prowadziłam badania, studiowałam i eksperymentowałam.

Ból stał się moją profesją. Pod wieloma względami to przydatna specjalizacja.

KIEDY PRZYJECHAŁAM DO ZAKŁADU karnego stanu Massachusetts, siostra już na mnie czekała. Wpisałam się do księgi widzeń, schowałam torebkę do szafki i ustawiłam się w kolejce do przejścia przez bramkę kontrolną. Chris i Bob, dwaj doświadczeni strażnicy, przywitali się ze mną, zwracając się do mnie po imieniu. Bob skontrolował mnie ręcznym wykrywaczem metalu, omijając moją bransoletkę. Zawsze powtarzał tę samą procedurę w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca. Potem Maria, trzecia z grupy strażników, zaprowadziła mnie do odizolowanego pokoju widzeń, w którym siedziała moja siostra, opierając na kolanach skute kajdankami ręce.

Strażniczka Maria skinęła przyzwalająco głową i weszłam do pokoju. W ciasnym pomieszczeniu o wymiarach dwa i pół na dwa i pół metra znajdowały się dwa pomarańczowe plastikowe krzesła i stolik z laminowanym blatem. Shana siedziała zwrócona plecami do ściany, twarzą do pojedynczego okienka, przez które mogła obserwować korytarz. Miejsce, jakie zajmują zwykle rewolwerowcy w westernach. Nie spiesząc się, odsunęłam drugie krzesło i zasiadłam naprzeciwko niej, plecami do okienka, przez które mógł zobaczyć mnie każdy, kto przechodził korytarzem. Przez całą minutę żadna z nas nie odezwała się ani słowem. Potem minęła kolejna minuta. W końcu moja siostra przerwała milczenie.

– Ściągnij żakiet.

Ton jej głosu zdradzał irytację. Coś musiało wytrącić ją z równowagi, prawdopodobnie na długo przed moją wizytą, ale

nic nie stało na przeszkodzie, by oberwało się za to właśnie mnie.

– Dlaczego? – zapytałam.

W przeciwieństwie do niej starałam się mówić spokojnie.

– Nie powinnaś ubierać się na czarno. Ile razy mam ci to powtarzać? W czarnym wyglądasz beczłowo.

Mówiła to kobieta, która miała na sobie ciemnoniebieskie drelich, a jej brązowe włosy do ramion zwisały pozlepiane w niechlujne strąki. Być może kiedyś była ładna, ale długie lata spędzone w surowych warunkach zrobiły swoje, a światło jarzeniówek tylko potęgowało ten efekt. Wpłynęło to również na nieustępliwe spojrzenie jej brązowych oczu.

Zdjęłam obcisły żakiet od Ann Taylor i powiesiłam go na oparciu krzesła. Pod spodem miałam szarą bluzkę z dzianiny. Shana omiotła złowrogim spojrzeniem moje przedramiona zasłonięte długimi rękawami. Nie odrywając wzroku od moich oczu, kilka razy wciągnęła powietrze przez nos.

– Nie czuję krwi – odezwała się w końcu.

– Nie musisz tego mówić z takim rozczarowaniem.

– Proszę. Całymi dniami wpatruję się w białe ściany. Mogłabyś przynajmniej się drasnąć.

Moja siostra twierdziła, że czuje zapach bólu, którego ja nie mogę doświadczyć. Nie miało to żadnego uzasadnienia naukowego, po prostu było przejawem jej wyższości. A mimo to w ciągu kilku godzin, które minęły od naszego spotkania, odkryłam trzy różne obrażenia, przed którymi mnie przestrzegała.

– Powinnaś się ubierać na różowo – powiedziała Shana. – Należysz do osób, które niewiele czasu spędzają w domu, więc używaj trochę życia, Adeline. Wtedy być może opowiesz mi coś ciekawego, bo mam już dosyć słuchania o twojej pracy, o pacjentach i testach wytrzymałości na ból, bla, bla, bla. Opowiesz mi o tym, jak jakiś muskularny facet zdziera różowy

stanik z twojej chuderlawej piersi. Wtedy te comiesięczne widzenia naprawdę zaczną mnie cieszyć. Czy ty w ogóle uprawiasz seks?

Nic nie odpowiedziałam. Shana już wiele razy zadawała mi to pytanie.

– Wszystko jasne, dociera do ciebie tylko to najlepsze, a nie czujesz tego, co nieprzyjemne. Czyli moja mała siostrzyczka nie ma co marzyć o zabawach sado-maso. Przykra sprawa.

Shana wypowiadała słowa beznamytnie. To nie był atak na mnie. Zachowywała się napastliwie, bo taki po prostu miała charakter. I żadne więzienie, kuracja farmakologiczna ani nawet spotkania z siostrą nie miały szans tego zmienić. Shana była urodzonym drapieżnikiem. Wdała się w naszego ojca. Mając zaledwie czternaście lat, zamordowała dwunastoletniego chłopca z sąsiedztwa i trafiła za kratki. I nie zapowiadało się, by kiedykolwiek wyszła na wolność, po tym jak przebywając w więzieniu, zabiła swoją towarzyszkę z celi i dwóch strażników.

Czy można kochać kogoś takiego jak moja siostra? Z zawodowego punktu widzenia stanowiła fascynujący obiekt badań nad osobowością społeczną. Bez reszty narcystyczna, całkowicie pozbawiona empatii i zdolna do manipulowania innymi. Ale była jedyną krewną, jaka mi została.

– Słyszałam, że zapisałaś się na nowe zajęcia – zaczęłam.
– Jak twierdzi naczelniczka McKinnon, po twoich pierwszych obrazach widać, że masz oko do szczegółów.

Shana wzruszyła ramionami. Moja pochwała nie zrobiła na niej wrażenia. Po raz kolejny wciągnęła powietrze przez nos.

– Nie czuję perfum, ale jesteś ubrana oficjalnie. To znaczy, że dzisiaj pracujesz. Pojedziesz stąd prosto do swojego gabinetu. Wyperfumujesz się w samochodzie? Mam nadzieję, że zdołasz zamaskować smród pierdła.

– Myślałam, że nie chcesz rozmawiać o mojej pracy.

– Wiem, że nie mamy innych tematów.

- Możemy pomówić o pogodzie.
- Pierdolę to. Wprawdzie jest poniedziałek, ale to nie oznacza, że muszę zmarnować godzinę, służąc ci jako królik doświadczalny.

Przemilczałam jej uwagę.

- Jestem tym zmęczona, Adeline. Tymi comiesięcznymi widzeniami, na które przychodzisz ubrana bez smaku, a ja mogę jedynie siedzieć i się temu przyglądać. Masz pod dostatkiem pacjentów, by zostawić mnie w spokoju. Więc nic tu po tobie. Idź już. Mówię poważnie!

Zastukałam w drzwi. Strażniczka Maria, która cały czas stała na zewnątrz, zajrzała do środka przez okienko. Zignorowałam ją jednak, nie odrywając wzroku od siostry.

Wybuch jej złości nie zrobił na mnie wrażenia. Zdążyłam już przywyknąć do takich scen. Furia była reakcją, którą stosowała z upodobaniem, zarówno broniąc się, jak i atakując. Poza tym siostra miała dosyć powodów, by mnie nienawidzić. I to nie tylko przez wzgląd na moją rzadką przypadłość genetyczną czy też fakt, że udało mi się spotkać kogoś, kto mnie przygarnął i wyprowadził na ludzi. Nienawidziła mnie dlatego, że kiedy się urodziłam, matka postanowiła ukryć mnie w szafie i zabrakło już miejsca dla nas obu.

Shana obrzucała mnie przekleństwami, a jej spojrzenie wyrażało tępy gniew i głębokie przygnębienie. Znów zaczęłam zachodzić w głowę, cóż takiego wydarzyło się tego ranka, że moja zaprawiona w bojach siostra miała tak podły nastrój.

- Po co tak się tym przejmujesz? – zapytałam zniecierpliwiona.
- Czym?
- Tym różem. Po co przejmujesz się moimi ubraniami, ich kolorem i tym, czy się komuś spodoba, czy nie? Czemu tak ci na tym zależy?

Shana spojrzała na mnie spode łba, wyraźnie zbита z tropu tym pytaniem.

- Ty jesteś niedojebana – odezwała się w końcu.
- To najserdeczniejsze słowa, jakie kiedykolwiek usłyszałam od siostry – stwierdziłam.

Podziałało. Shana przewróciła oczami, ale w końcu na jej twarzy pojawił się skąpy uśmiech. Napięcie wypełniające ciasny pokój nareszcie zelżało i znów mogliśmy obie zaczerpnąć tchu.

Chociaż Shana udawała, że jest inaczej, zdaniem naczelniczki więzienia zawsze z niecierpliwością czekała na nasze comiesięczne spotkania. A gdy zachowywała się szczególnie agresywnie, udawało się przywołać ją do porządku, jedynie grożąc odwołaniem mojej wizyty, co najwyraźniej było dla niej na tyle surową karą, że potrafiła się opanować. Tak więc widywałyśmy się regularnie i trwało to już blisko dziesięć lat. Można to było nazwać podtrzymywaniem relacji rodzinnych... jeśli da się zbliżyć do kogoś, kto ma psychopatyczną osobowość.

- Jak sypiasz? – zapytałam.
- Jak niemowlę.
- Czytałaś ostatnio coś dobrego?
- Dzieła zebrane Szekspira. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się ci pentametr jambiczny.
- *I ty, Brutusie...*

Znów uśmiechnęła się lekko i rozluźniona odchyliła się na oparcie krzesła. Przez kolejne trzydzieści minut ciągnęłyśmy rozmowę, poruszając konkretne tematy, to znów gawędząc bez wyraźnego celu, jak robiłyśmy w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca. W końcu Maria zastukała w szybę, by oznajmić, że nasz czas dobiegł końca. Podniosłam się z krzesła, podczas gdy moja siostra, która nigdzie się nie wybierała, pozostała na miejscu.

- Noś się na różowo – powtórzyła swoją radę, kiedy zdejmowałam żakiet z oparcia.
- Może sama powinnaś się do tego zastosować – odparłam.
- I wprowadzić więcej kolorów do swoich prac.

– Żeby psychiatrzy mieli nad czym się zastanawiać? – Shana uśmiechnęła się ironicznie. – Nie sądzę.

– Czy twoje sny są czarno-białe?

– A twoje?

– Nie wiem, czy w ogóle śnię.

– Może to też wynika z twojej ułomności. Ja mam dużo snów. Przeważnie w kolorze krwi. Różnią się od siebie tylko tym, że czasem to ja trzymam nóż, a czasem nasz kochany tatuś.

Spojrzała na mnie przeciągle. Jej oczy nagle stały się pozbawione wyrazu jak u rekina, ale ja wiedziałam, że nie należy chwycić tej przynęty.

– Powinnaś zapisywać swoje sny – doradziłam jej.

– A myślisz, że czym, kurwa, są moje obrazy?

– Niepokojącą ekspresją głęboko zakorzenionej przemocy.

Shana wybuchła śmiechem i przy jego akompaniamencie ruszyłam do drzwi i zostawiłam ją samą.

– Wszystko z nią w porządku? – zapytałam chwilę później, idąc korytarzem za Marią.

Poniedziałek nie był dniem ogólnych widzeń i dokoła panowała względna cisza.

– Nie jestem pewna. Sama pani wie, że zbliża się okrągła rocznica.

Spojrzałam na strażniczkę pytająco.

– W przyszłym tygodniu mija trzydzieści lat od śmierci Donniego Johnsona – wyjaśniła. – To jej pierwsza ofiara. Odezwał się jakiś lokalny reporter, który chciał przeprowadzić z nią wywiad.

Musiało mi to umknąć. Jakoś nie połączyłam ze sobą wszystkich faktów i później, jako psychiatra i osoba przywiązująca tak wielką wagę do samokontroli, musiałam zadać sobie pytanie, dlaczego tak się stało. Jakiej przykrości starałam się uniknąć? Ironicznej refleksji nad sobą?

– Ale ona nie odpowie na żadne pytanie – dodała Maria.
– I słusznie, jeśli mam być szczerą. Bo skoro tamten chłopak nic już nie może powiedzieć, to czemu miałyby mówić jego zabójczynie?

Przy wyjściu odebrałam torebkę, złożyłam kolejny podpis i udałam się do samochodu stojącego kilkaset metrów dalej na ogromnym parkingu po drugiej stronie wysokiego muru zwieńczonego drutem kolczastym, za którym na stałe zamieszkała moja siostra.

Na siedzeniu pasażera leżał purpuroworóżowy rozpinany sweter, który miałam na sobie, gdy tu przyjechałam. Zanim wysiadłam z samochodu, zgodnie z regulaminem odwiedzin zdjęłam biżuterię i przebrałam się w coś stonowanego, co bardziej pasowałoby do tego miejsca. Odłożyłam na bok kupiony przed dwoma tygodniami nowy sweter, który był jedyną różową rzeczą w mojej garderobie.

Obejrzałam się w stronę gmachu więzienia i omiotłam wzrokiem rzędy okien ciągnących się wzdłuż ceglanej ściany. Gdzieś między nimi znajdowała się wąska szczelina, przez którą światło słoneczne wpadało do izolatki mojej siostry. Ale z takiej odległości trudno byłoby mi przyjrzeć się dokładnie, kiedy siedziałam pochylona niezgrabnie nad kierownicą i ukryta za przyciemnianymi szybami SUV-a.

Nigdy nie potrafiłam do końca zrozumieć siostry. I podejrzewałam, że ona mogłaby powiedzieć to samo o mnie.

Wrzuciłam bieg i odjechałam w stronę centrum Bostonu. Czekало mnie pracowite popołudnie wypełnione spotkaniami z ludźmi, którzy szukali ulgi od różnych dolegliwości. Miałam także rozpocząć terapię nowej pacjentki, policjantki z wydziału zabójstw, która została ranna na służbie.

Kochałam swoją pracę. Z niecierpliwością myślałam o nowych wyzwaniach, kiedy witałam każdego z pacjentów i wypowiadałam słowa tak znamienne dla osoby z moją

przypadłością:

- Proszę mi opowiedzieć o swoim bólu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).